

*Wspomnienia Pani Marii Rorbach zamieszczamy w tym miejscu, ponieważ wiążą się ze zdjęciami przedstawionymi na następnych stronach (Dzieci komunijne na tle kościoła w Horodyszczu) w dziale „Gdzie wy teraz jesteście?”.*

---

*Maria Rorbach*

## Moje wspomnienia

Jestem najstarszą córką z trójki dzieci osadnika wojskowego w osadzie Horodyszcze, powiat Baranowicze, województwo Nowogródzkie. Ojciec mój Franciszek Czyżewicz pochodził z krakowskiego a matka Maria z domu Ratkiewicz urodziła się we wsi Kołdyczewo, 6 km od miasteczka Horodyszcze. W 1914 ojciec wstąpił do wojska polskiego jako ochotnik i będąc legionistą w latach 1918-1920 walczył o niepodległość Polski. Za poniesione trudy i zasługi wojenne marszałek Józef Piłsudski nadał mu 30 ha ziemi z reformy rolnej czyniąc go osadnikiem wojskowym na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej Polskiej. Obydwoje rodzice bardzo ciężko pracowali na gospodarstwie. Nie było ich stać na zakup maszyn rolniczych, była tylko kosa, sierp, młockarnia. Słyszałam często, jak ojciec późno, wieczorem po pracy narzekał, że straci zdrowie przez tę ziemię. Zresztą na ziemi nie znał się, nie był rolnikiem. Zgłosił się ostatni i otrzymał działkę z dala od drogi, przy lesie, gdzie diabeł powiedział „dobranoc”. Go-

spodarzył bez efektów, ziemia była marna, piaszczysta. Oddał ją w dzierżawę i założył warsztat w miasteczku Horodyszcze, odległym od osady o 2 km. Interes rozwijał się dobrze i po paru latach pracy wybudował nowy dom i kupił autobus na spółkę z Żydem Nachmanowiczem. Autobus kursował na linii Baranowicze-Nowogródek. Początkowo była to kura, znosząca „złote jajka”. Znalazło się jednak więcej chętnych do robienia interesu, postawiono na tej linii aż pięć autobusów. W latach trzydziestych nastąpił kryzys, nie było kogo wozić i wszyscy zbankrutowali. Autobus państwo zabrało za zaległe podatki. I tak ojciec z pana został dziadem. Wrócił na zrujnowaną i zadłużoną przez dzierżawcę gospodarkę. Zajrzała mu w oczy bieda i miał zamiar „pójść w świat” do przemysłu. W całej Polsce nastały wówczas ciężkie czasy, o chleb i pracę było trudno. Na działce zainteresował ojca strumyk, jako miejsce pod staw i zaporę. Odkrył też złoża torfu i to zdecydowało, że pozostał w Horodyszczu. Spiętrzony strumyk na

wysokość do 5 metrów pozwolił na zmechanizowanie warsztatu, zbudowanie młynka do robienia kaszy gryczanej i rozwinięcia hodowli ryb (karpie). Staw był również dobrym kąpieliskiem, nad nim stał dom. Otaczające działkę bagna ojciec pierwotnie przeklinał za brak dojścia i dojazdu. Bagien tych było przeszło 6 ha. Głębokość torfu sięgała średnio 3 metrów. Był to majątek, bogactwo lepsze od warsztatu i autobusu.



*Tu było nasze podwórko. Pozostał staw i las.  
Zdjęcie zrobiono we wrześniu 1998 roku*

Do 1941 r. prawie wszystkie te pokłady zostały wyeksploatowane, a w naszym domu do tego celu powstało coś w rodzaju biura.

Nasza działka była pięknie położona na lekkim wzniesieniu, dom z zabudowaniami gospodarskimi stał na górcie pod lasem sosnowo-świerkowym, u podnóża rozpościerały się łąki kwieciste z mnóstwem

wszelkich ptaków a nad polami unosiły się wysoko rozśpiewane skowronki. Z podwórka widać było w dali ciemne lasy oraz położone bliżej wsie: Jasieniec, Bryksicze oraz częściowo miasteczko Horodyszczce, którego widok w dużym stopniu zasłaniały górki działek sąsiadów p. Dukalskich i p. Józwiaka. Na północ za tzw. „lasem rządowym” były miejscowości Poruczyn, Tuhanowicze (o których pisze Adam Mickiewicz) i dalej Worończa.

Do tej ostatniej jeździłam z matką do kościoła na odpust w dniu św. Anny (lipiec) jak również nad jezioro Świtez odległe o 14 km od Horodyszczca. Na zachód od Horodyszczca brała początek rzeczka Serwecz, mijała miasteczko, następnie naszą i sąsiadki p. Zbijewskiej działkę, las koło Poruczyna, wieś Cyran i pły-

nąc dalej wpadała do Niemna. Dobry klimat, zapach żywicy w lesie, kwieciste łąki, słońce i czysta woda w rzece spowodowały, że zorganizowano u nas na działce na dwa lata przed wojną kolonię dla dzieci z Baranowicz. Przyjechali, rozłożyli namioty pod lasem, rano słychać było głos pobudki, brzęk menażek, gwar, śmiech i radość. W lesie było

pełno grzybów: rydze, maślaki, kozaki, prawdziwki itp.

W momencie wybuchu wojny 1 września 1939 roku miałam ukończone 2 klasy Gimnazjum Kupieckiego w Baranowiczach. W swoich wspomnieniach chciałabym trochę więcej napisać o Baranowiczach. Miasto to jest mi bliskie, ponieważ w nim zaczęłam uczęszczać do gimnazjum i marzyłam o tym, że za parę lat zdobędę dużą maturę a marzenia pozostały tylko... marzeniami.

„Polskie Chicago na Wschodzie”<sup>1</sup> – takie miano zyskały sobie Baranowicze przed 1939 r, kiedy każdy przybywający tutaj, chcący się osiedlić, stawał się z miejsca zasiedziałym mieszkańcem tego przemysłowego miasta, które powstało dzięki połączeniu linią kolejową Europy z Dalekim Wschodem. W 1871 r istniała tutaj już „Stacja Baranowicze”, obsługująca linię Warszawa-Moskwa. W grudniu 1884 r, linię tę przecięła druga trasa kolejowa Wilno-Łuniniec-Pińsk. Dzięki przecięciu się linii kolejowych (w 1886 r powstała stacja Baranowicze Polesie, gdzie dociągnięto linię kolejową Białystok-Baranowicze) osada stała się ważnym punktem komunikacyjnym i strategicznym, co wydatnie przy-

śpieszyło jej rozwój. Po I wojnie światowej dzięki pokojowi ryskiemu miasto znalazło się na terytorium Polski. Dla Baranowicz oznaczało to odbudowę i rozwój, a dla mieszkańców spokój do 1939 r. Rozwinęła się oświata – zarówno państwowa, jak i prywatna. Z dawnych, przedwojennych szkół, funkcjonowanie podjęło prywatne gimnazjum Walentyny Szulickiej, założone w 1907 r. W 1922 r otwarto w Baranowiczach Państwowe Gimnazjum Humanistyczne im. Tadeusza Reytana, a w 1929 r. powstało prywatne, żydowskie gimnazjum humanistyczne C. Epszajna, w którym językiem wykładowym był polski. Było też gimnazjum żeńskie im. Barbary Radziwiłłówny przy ul. Szosowej. Oprócz tego funkcjonowało szkolnictwo zawodowe, specjalizacją dopasowane do potrzeb Baranowicz. Polska Macierz Szkolna prowadziła dwie szkoły o charakterze zawodowym: Gimnazjum Handlowe, koedukacyjne i męską, średnią szkołę budowlano-drogową. Istniała także niższa, dokształcająca szkoła zawodowa, utrzymywana przez administrację państwową. W 1930 r w Baranowiczach Centralnych istniały 3 szkoły powszechnie, podobna liczna funkcjonowała w Baranowiczach Poleskich. W 1922 r. miasto starało się o status stolicy województwa. Dwie były chluby Baranowicz przed 1939 r. mianowicie miasto zostało za-

---

<sup>1</sup> Wspomnienie o Baranowiczach wg Pawła Sygowskiego i Roberta Kuwałki, „Ziemia Lidzka” nr 13 marzec 1994.



*Autorka wspomnień na rżyskach pól działki swoich rodziców. Zdjęcie z sierpnia 1998 roku*

szczycone w latach dwudziestych odsłonięciem, drugiego po Warszawie Pomnika Nieznanego Żołnierza, który przetrwał tutaj do lat sześćdziesiątych, kiedy to zniszczyły go władze sowieckie. Stał on na ul. Szeptyckiego i odbywały się przed nim parady z okazji świąt państwowych. Drugą chlubą była najmłodsza w ówczesnej Polsce radiostacja, trzecia po wileńskiej i lwowskiej na Kresach. Uruchomiono ją 31.08.1938 r i z miejsca stała się ona wielkim propagatorem kultury polskiej na Nowogródczyźnie. Następną radiostację planowano uruchomić w Łucku na Wołyniu, niestety wojna przerwała prace nad budową radiostacji wołyńskiej.

Baranowicze jako węzeł komunikacyjny, prężnie rozwijający się ośrodek przemysłowo-handlowy miał szansę stać się obok Wilna i Lwowa najważniejszym centrum

gospodarczo-społecznym na Kresach. Warto również zwrócić uwagę na dzieje baranowickiej parafii katolickiej w tym okresie. Zaraz po wyzwoleniu w 1920 r. Baranowicz, miejscowe społeczności – zarówno katolicka, jak i prawosławna – zaczęły zbierać pieniądze na budowę swoich świątyń. Nie istniały już carskie zakazy, więc można było zbudować kościół z prawdziwego zdarzenia. Okazało się jednak, że prawosławni byli bardziej ofiarni i oto w centrum Baranowicz stanął murowany sobór, którego wieża do dzisiaj góruje nad Baranowiczami Centralnymi. W 1924 roku na tej samej ulicy Kościelnej stanął niewielki drewniany kościół pod wezwaniem Podniesienia Krzyża Świętego – o wiele mniejszy, niż sobór, mimo, że katolików w Baranowiczach było wtedy więcej niż prawosławnych. Kościół ten, jako

jeden z nielicznych w powojennym obwodzie brzeskim był nieprzerwanie czynny po 1944 r. Nie był to jedyny kościół katolicki w Baranowiczach, które zostały podzielone na dwie parafie. W koszarach Kościuszki funkcjonował bowiem kościół garnizonowy, p.w. św. Antoniego Padewskiego. W Baranowiczach Poleskich, w szkole powszechnej istniała również kaplica p.w. Matki Boskiej Królowej Polskiej, posiadająca prawa kościoła parafialnego dla tej części miasta. Ani po szkole ani po kaplicy nie zostało dzisiaj żadnego śladu. Ulica na której znajdowały się w tym rejonie budynki przesta istnieć podczas II wojny światowej.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej 17 września 1939 r na nasze Wschodnie Rubieże i po ustanowieniu władzy – w Baranowiczach szkoły były czynne, dodatkowo powstały gimnazja w języku rosyjskim, białoruskim i żydowskim. Ja uczęszczałam do 3 klasy gimnazjum koedukacyjnego, gdzie językiem wykładowym był język polski. Ale już w styczniu 1940 r przebråkiwano, że z uwagi na silne zagęszczenie w naszej szkole, będzie przymusowe przemieszczenie uczniów do innych gimnazjum np. rosyjskiego lub białoruskiego. Bardzo się wtedy martwiłam o swój los, a okazało się, że niepotrzebnie, bo w lutym 1940 wszystko się szybko „wyjaśniło”. 10 lutego

1940 r. na przerwie szkolnej w godzinach wieczornych moja serdeczna przyjaciółka Irena Szewczakówna córka osadnika wojskowego k. Łachowicz pow. Nieświerz, powiedziała do mnie: „Marysiu dzisiaj rano naszych rodziców wywieźli na Sybir. Nie płacz, bądź cicho”. Po powrocie na kwaterę moja gospodyni p. Felicja Prozorowicz potwierdziła tę straszną dla mnie wiadomość. Na rozwój wypadków nie musiałam długo czekać. Na drugi dzień (była niedziela) przed południem przyjechał mój wujek Tomasz Gryniewski sankami i zabrał mnie do swojej rodziny ażeby „ukryć” przed wywózką do Rosji. U krewnych mojej mamy w Kołdyczewie mieszkałam ponad 2 tygodnie. Pewnego dnia (może poniedziałek?) byłam zatrudniona przez wujka przy sieczkarni słomy i jak przystawałam w robocie, to wujek wołał; „kręć... dalej kręć”. I tak to bywa w życiu, gdy dziecko bez rodziców pozostaje na łasce u „obcych”, a wtedy tęskniłam i płakałam, że chciałabym być razem z rodzicami i rodzeństwem. I oto podczas tej roboty niedokończony wczesnym popołudniem zjechała na podwórko „podwoda” z „bojcem”, z bronią na ramieniu, wierzchem na koniu. Aresztowali mnie „pocieszyli”, że za 3 dni będę razem już z rodziną. Byłam razem, ale po 10 miesiącach w lasach archangielskich.

Posadzili do sań i na wieczór zawieźli do Horodyszczu do tymczasowego aresztu, który się mieścił w domu byłej sędziny, obecnie przy ul. 17 września. Tam spotkałam chłopca Jana Pokrowskiego, który przed wojną pracował z dwoma braćmi u mego ojca przy budowie stawu, sypali przy pomocy taczek wał ziemny. Jan zapytał mnie czy chcę jeść, czy nie jest mi zimno i kazał pozdrowić ojca, gdy już go spotkam. Zasnęłam z myślami o szybkim spotkaniu ze swoją rodziną. Na drugi dzień rano pod tą samą eskortą odstawiono mnie do więzienia w Baranowiczach. Po drodze w Kołdyczewie zjadłam obiad u wujostwa a oni zatrzymali się ze mną żeby coś zjeść w restauracji w Stołowiczach. Ja nic nie jadłam, choć mi proponowali jedzenie. Wieczorem, gdy było już ciemno dowieźli mnie do więzienia – ulicy nie pamiętam. W celi więziennej na podłodze, pokrytej słomą, leżeli więźniowie około 20-30 osób a wśród nich... mój ojciec!. Był bardzo przygnębiony, wiedział co go czeka. Za chwilę otworzyły się drzwi celi i podano mi miskę krupniku z mięsem wieprzowym. Powiedziałam do ojca. „Nie chce mi się tatusiu jeść...” A ojciec powiedział: „Daj mi Marysiu tę zupę... przyjdzie czas, że będziesz chciała jeść”. Tak, ojciec dobrze wtedy wiedział jaki los, nas zesłańców, czeka!. Zebrane tam były osoby,

które z tych czy innych powodów były odłączone od rodzin. Po prze nocowaniu, na drugi dzień przewieźli nas niedaleko za Baranowicze na osadę wojskową (mieszkała tam p. Janina Cieciorowa, oczywiście przed wojną) i postawili przy nas strażników z bronią. Tam usiedliśmy na ziemi i jak jeden mąż, mężczyźni i kobiety potężnym głosem zaintonowaliśmy pieśń kościelną:

*„Matko najświętsza, do serca Twego  
Mieczem boleści wskroś przeszyciego  
Wołamy wszyscy z jękiem, ze łzami  
ucieczko grzesznych módl się za nami  
Ach gdzież my Matko, gdzie my pójdziemy  
i gdzie ratunku szukać będziemy?”*

*Twojego ludu nie gardź prośbami,  
ucieczko grzesznych módl się za nami”*

Muszę nadmienić, że ze strony straży nie padło najmniejsze słowo sprzeciwu. Po paru dniach wszystkich nas więźniów załadowano do wagonów bydłowych i pociąg pojechał z nami do granicy, następnie przez Mińsk, Smoleńsk, Moskwę do Gorkina aż zatrzymał się po 3-4 tygodniach z końcem marca lub początkiem kwietnia 1940 r. Na stacji Suchobezwodnoje kazano nam wysiadać. W odległości paruset metrów był „lesopunkt” a w nim duże baraki, stołówka, sklepik, biuro dla władzy, księgowość itp., ale o tym etapie podróży w dalszej części moich wspomnień.